Pisarz, który nie zasłużył na zapomnienie. Jan Bielatowicz (1913-1965).

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Będąc jeszcze na studiach w Irlandii nawiązałem kontakt z londyńskim tygodnikiem „Życie” redagowanym przez szereg lat przez Jana Tokarskiego, a po nim Jana Bielatowicza. Tego ostatniego poznałem osobiście podczas jednej z wizyt w redakcji zapewne za pośrednictwem pracujcącego tam kolegi z Irlandii, krytyka i poety, Wojciecha Gniatczyńskiego.

Czy Bielatowicz był oryginałem? Na drzwiach pokoju redakcyjnego wisiała kartka z apelem do interesantów, aby, nim wejdą, zastanowili się nad celowością wizyty osobistej. Jeżeli nie była ona konieczna, to niech napiszą list, który redaktor mógł przeczytać w wygodnym dla siebie czasie. Jeżeli śmiałek przeszkodę pokonał, to zastał siedzącego nad stertą papierów czerstwego pana o rudej, kędzierzawej czuprynie. Ponoć w koszu redakcyjnym stała butelka z winem, z której dało się pociągnąć trochę inspiracji.



Jan Bielatowicz, fot. Tarnowski Kurier Kulturalny.

Bielatowicz był autorem antologii poezji żołnierskiej, tomu opowiadań z czasów włoskiej kampanii i uroczych wspomnień z rodzimego Tarnowa pt. „Książeczka”. Ale najżwawiej władał piórem krytyka i to nie tylko w materii literackiej. Był sarmatą co się zowie i miał swoje predylekcje i antypatie. Przywiązany do tradycji i historii polskiej, stał się Rejtanem ich wartości podejrzliwie węsząc raz po raz wpływy moderny. Na tle bladej krytyki emigracyjnej był postacią kontrowersyjną i czupurną. Potrafił odsądzić od czci i wiary i tym samym szerokim gestem rozdawał laurki. I tak o powieści Józefa Mackiewicza „Droga donikąd” powiedział śmiało:

> Jest to bowiem najpiękniej napisana powieść powojenna.

O tomiku Łobodowskiego „Z dymem pożarów”:

> Jest to bowiem najpiękniejsza i najwznioślejsza liryka polska piętnastolecia, od dni klęski aż po dzień dzisiejszy.

Bielatowicz nie wyczerpał na tym zasobu superlatywów. Niedługo potem napisał o zbiorze wierszy Wierzyńskiego „Korzec maku”:

> Jest to bodaj najwybitniejszy tom poezji polskiej, jaki pojawił się na obczyźnie po roku 1939.

Piszący te słowa także doczekał się pochwał za swoja twórczość naukową i przekładową. Nie znaczy to jednak, by Bielatowicz nie potrafił strofować poczynań np. grupy młodych pisarzy, do których wówczas należałem. Zresztą tolerancja pozwalała nam drukować jego cierpkie uwagi w naszym własnym piśmie „Kontynenty", uwagi krytykujące naszą poezję i publicystykę. Na wieczorze poświęconym tematowi „Czy pogrzebać 'Kontynenty'", Bielatowicz bez ogródek zacytował Słowackiego:

> „Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy". Dęby i pomniejsze drzewa starego lasu naszej literatury padają jedno po drugim, co rok, co miesiąc, co tydzień. Las tak już przerzedł, że można mówić raczej o reliktach. Czy więc nie czas porzucić ogródki działkowe i poetyckie poletka doświadczalne, a zająć miejsca tam, gdzie rośnie las? Czy nie czas stać się lasem?



Anglia. Jan Bielatowicz z żoną na spacerze, fot. Tarnowski Kurier Kulturalny.

Postawa twardego emigranta politycznego nie przeszkodziła Bielatowiczowi bardzo wcześnie zająć stanowisko odważne i światłe, gdy radził nie zrywać łączności z krajem.

> ...Jakąż zatem rolę pożyteczną dla całego narodu spełnić może jego emigracja? Śmiertelnym i samobójczym grzechem byłoby odwrócenie się od Kraju. Polska mimo

> niewoli nie przestała być ojczyzną naszej duszy. Żyje nadal, walczy, tworzy. Z czcią i zdumieniem podejmujemy na obczyźnie okruchy dochodzące z ojczyzny. Dochodzą stamtąd liczne świadectwa, że Polska nie przestała być twórczą i ambitną siostrą kultur zachodnich. Podstawą naszego działania kulturalnego musi pozostać twórczość w Kraju. W oderwaniu od niej bylibyśmy dla niej bezużyteczni.
>
> Zadania polskiej emigracji kulturalnej są dwojakie: dotrzymać kroku rozwojowi kultury w Polsce i próbować gromadzić i uzupełniać te dobra kulturalne, których Kraj nie może dziś wytworzyć. Troskę o przyszłość pozostawmy Krajowi. Da on sobie radę z pokostem obcych wpływów, gdy przyjdzie stosowna chwila. Owszem powinniśmy przechować szacunek dla ideałów kultury i tradycji narodowej, ale nie wolno nam ulegać złudzeniom, że jesteśmy ich wyłącznymi kapłanami.

Artykuły i szkice rozproszone w gazetach i pismach czekają na wydanie książkowe, aczkolwiek w tomie „Literatura na emigracji” (Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1970) żona pisarza zebrała niektóre teksty tyczące zagadnień literackich. Powtórzę za nią ostatnie, skromne słowa jej wstępu:

> Dobrze, że choć ta książka przypomni czytelnikowi pisarza

> emigracji – pisarza, który nie zasłużył na zapomnienie.



Tablica pamiątkowa na domu Jana Bielatowicza w Tarnowie, fot. Tarnowski Kurier Kulturalny.

Pedagodzy Polskiego

Uniwersytetu na Obczyźnie

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

W pierwszych latach działalności Polskiego Uniwersytetu Na Obczyźnie w Londynie, to znaczy w latach pięćdziesiątych, studenci mieli rzadką okazją, by słuchać wykładów znakomitych pedagogów sprzed wojny. Byli tam m.in. humaniści tej rangi co profesor Władysław Folkierski, Stanisław Kościałkowski, Stanisław Kott, Marian Kukiel, Stanisłw Stroński, Stanisław Świaniewicz czy Władysław Wielhorski.



Władysław Folkierski (1890-1961), fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe, Wikipedia.

Jako świeżo upieczony filolog iberyjski zabrałem się do udowodnienia tezy Edwarda Porębowicza, wedle której oryginałów niektórych wierszy Sebastiana Grabowieckiego (1545-1607) należało szukać wśrtód poetów hiszpańskich. Zamknąłem się na trzy letnie miesiące w bibliotece *British Museum* w Londynie. Do ostatnich dni pilne poszukiwania nie przynosiły żadnego efektu. Pod koniec zacząłem lustrować autorów włoskich. Bodaj w ostatni dzień znalazłem poszukiwane

oryginały u Bernarda Tassa (1493-1569) w jego “Salmi”.

Napisałem w te pędy artykuł o moim odkryciu. Konkludowałem w nim z triumfem:

> Z powyższego wynika, że Sebastian Grabowiecki hiszpańskiej literatury nie znał.

Profesor Folkierski, który mój tekst przeczytał z zainteresowaniem, z pochopną konkluzją się nie zgodził. Przyjął dopiero tekst, kiedy poprawiłem wniosek na:

> Jeżeli Sebastian Grabowiecki znał literaturę hiszpańską, to w jego twórczości nie znajdujemy żadnych śladów tej znajomości.

Niby to drobnostka, lecz wymagał precyzji zacny professor. I słusznie.

Trzeba zrozumieć porządek rzeczy. Józef Bujnowski (1910-2001). Część II.

Florian Śmieja



Józef Bujnowski, Włochy 1945 r., fot. arch. Heide Pirwitz-Bujnowskiej, żony poety.

Piękne są dalsze teksty z tomu „Spod gwiazdozbioru wielkiego psa” z 1987 roku: „Rozmowa w stylu pewnej epoki”, „Lęk”, „Motyw z ballad i romansów”, jakby w dowód, że Bujnowski potrafi pisać nie tylko wymyślne eksperymentujące igraszki, ale i wiersze konwencjonalne. Kamping we Włoszech koło Genui okazał się szczególnie bogaty w natchnienie. Poeta nie waha się wpleść prozaiczny odnośnik pozwalający zapisać w czasie liryczną miniaturę. I tak poeta chciałby zakupić Madonnę, którą

wyrabia lokalny artysta, cóż z tego:

> ale Wilson ograniczył ilość funtów
>
> które można zarobić i wywieźć za granicę

Wśród pejzaży pojawiają się także hiszpańskie, a Amsterdam autor zaprezentuje nam w postaci kolorowych przystanków. Przy jednym z nich w barze dyskutujących o imponderabiliach można spotkać osobników o nazwiskach Lubomir Dolezal i Józef Bujnowski.

Rewelacyjny jest dla mnie cykl wierszy z wyprawy do Grecji. Tu szeroka humanistyczna wiedza w połączeniu z szelmowskim humorem poety bryluje bezspornie. W wierszu „Jak to było w Olimpii” znajdziemy taki passus:

> hellanodikowie
>
> to takie litrerackie „juri”

> tylko mniej śmieszne niż np. w Londynie
>
> akademia grydzewskiego

W „Długiej i ważkiej rozmowie z Pytią” na cenzurowanym znalazły się różne formy wierszy:

> twój wiersz to wcale nie heksametr
>
> nie rymujesz według Dłuskiej
>
> ani nawet Pszczołowskiej

Kpi sobie również z uświęconych przekazów i pewników. W wierszu „Nad grobem w Mykenach” konstatuje poważnie:

> nogą ten grób odkryła koza

> wpadłszy jedna
>
> w szczelinę

Zaś w wierszu „Przed hekatompedonem” na swój sposób tłumaczy narodziny Ateny:

> a mój łacinnik mówił mi
>
> że Hefajstos
>
> uderzając potężnym toporem
>
> w głowę Zeusa
>
> powołał ją do życia
>
> to było takie na owe czasy
>
> cesarskie cięcie

Tomik „Spod gwiazdozbioru” doskonale reprezentował poezję Bujnowskiego, a ton i forma tych wierszy świadczą o jego dojrzałości poetyckiej, o ograniczeniu eksperymentowania, nie epatowania, rzadkim darze pisania zwyczajnego wiersza

> o miłości
>
> na co dzień

Poeta pokazał zdolność uchwycenia trafnego słowa, jak w „Erotyku” pod koniec tomiku.

Odnotujmy jeszcze mało fortunną, ostatnią chronologicznie publikację wierszy Bujnowskiego: „Przychodzę z mroków”. Jest to wybór poezji wydany przez Agencję Wydawniczą Lawsonia. Opracował go Marek Jędrzejewski wybrawszy 38 utworów spośród wierszy przedwojennych, wojennych i wydanych na emigracji. Zasłużył się w ten sposób przypomnieniem tekstów trudnych do znalezienia, a ważnych. Niestety publikacja ukazała się w bardzo bylejakiej postaci, roi się w niej od błędów, których ani połowy nie uwzględniła załączona errata. Przy tego typu poezji jest to fatalne niedociągnięcie. Nie budzi też większego zaufania zbyt pospiesznie nakreślone słowo wstępne pt

„Samotność poety”.

Jeszcze w roku 1945 w Matino we Włoszech Bujnowski napisał krótką powieść „Koła w mgławicach” poświęconą towarzyszowi broni, utalentowanemu grafikowi Ryszardowi Kopyściowi, który zginął pod Monte Cassino. Przez kilkadziesiąt lat autor usiłował zainteresować swoim manuskryptem wydawców emigracyjnych i krajowych bez rezultatu. Nagle w liście z 9.5.1992, doniósł

> Część mojej prozy literackiej „Koła w mgławicach” opublikowała „Arka” krakowska wraz z wywiadem – ale o wydaniu całości marzyć trudno, bo jakoś pośrednio zahaczam o kołtuństwo i głoszę hasła „przeciw wojnie”.

Rok później jednak z wielką radością komunikował, że jego powieść znalazła w Polsce zainteresowanego wydawcę, który ją opublikował w Krakowie w 1993 roku.

„Bujnowski wywarł podobno znaczny wpływ na młodsze pokolenie emigracyjnych poetów”, napisał – jak widać nie bardzo pewny swojej opinii Piotr Kuncewicz. Wielu z nas, nie ulega kwestii, docenia rozsądne i uprzejme słowa Bujnowskiego. Również pamięta troskliwe zainteresowanie i pomoc. On nam wskazywał inne, nowe wzorce. Sam był przykładem awangardzisty poszukującego z uporem świeżego, trafnego

słowa i odkrywczej formy. Promieniował respektem dla Kridlowskiej szkoły krytycznej, lecz nikomu, o ile dobrze pamiętam, własnych preferencji nie narzucał. Respektował osobowość twórczą każdego. Usuwał rażące błędy, mógł sugerować inne wersje. Nie powstanie o nim złośliwa anegdotka jak ta kojarzona ze Stanisławem Balińskim, który długo przetrzymywał zbiór wierszy Bronisława Przyłuskiego, a potem je odesłał przepisane na modłę Skamandra.



Józef Bujnowski, fot. arch. Heide Pirwitz-Bujnowskiej, żony poety.

Bujnowski nie ukrywał swojej krytyki skamandrytów i nieraz wypowiadał się o ich poetyce ostro i dobitnie. Miał swoich mistrzów, demonstrował ich, ale nie nalegał, by ich brali sobie za wzór inni. Młodzi pisarze byli świadkami ustawicznego dążenia Bujnowskiego do ubierania przeżyć artystycznych w nowy wyraz. Widzieli jego niezgodę na powielanie utartych form, cenili unikanie maniery, próby realizowania ambitnych teorii, pracę nad metaforą. Bujnowski więc swoim własnym przykładem, a

także ofiarnością i bezinteresownością wobec młodych, wpłynął na nich, na ich ukształtowanie i wybory. Bliski im był jego brak ostentacji i skromność. Sympatyzowano z jego koncepcją poety:

> […] nie natchnione medium, przez które „płynie strumień piękności" – jak to było jeszcze u nadrealistów – ale świadomy artystycznych celów architekt na zimno organizujący swój artystyczny materiał w świadomą celów budowę…

Nie uszła naszej uwadze jego dbałość o rytm i rapsodyczny styl recytacji jako ważny element poezji. Respektowaliśmy go na pewno za jego pogodne patrzenie na sztukę, która „..lubi i umie dostarczać ludycznych doznań, że sztuka jest chora, jeśli nie potrafi się śmiać…" Do innych jego ulubionych teorii ustosunkowywano się różnie, ale brano je pod rozwagę. Należało do nich podejście krytyczne do twórczości. Pomni na jego *dictum*, że historia literatury ma traktować o literaturze, a nie o literatach, mogliśmy się spierać o to, czy istotnie analiza liryki musi być „bezosobowa", że nie można uzupełniać biografią utworów lirycznych, a utworami lirycznymi biografii.

W 1988 roku Bujnowski otrzymał nagrodę Związku Pisarzy

Polskich na Obczyźnie za całokształt twórczości. Za poświęcenie życia nauce polskiej na emigracji, dopowiedział dr Zdzisław Jagodziński. Sam laureat m.in. oświadczył

> […]już w Wilnie wiedziałem, że w tradycyjnych formach nie da się wyrazić prawdy o współczesnej rzeczywistości. Te wczorajsze formy są cudowne, ale skamieniałe i już nieżywe.

Urodzony 18.3.1910. w Okolicy-Rudawie na Wileńszczyźnie poeta po ukończeniu szkół w Brasławiu i Dziśnie, zapisał się na filologię polską na Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie. (Warto tu wspomnieć, że przedtem uciekł na kilka miesięcy na przełomie lat 1926-27, by zakosztować cygańskiego życia jako członek aktorskiego teatru „Reduta" żyjąc we wspólnocie i grając pomniejsze role). Ukończywszy magisterium, pracę doktorską poświęconą kompozycji utworów dramatycznych Stanisława Wyspiańskiego rozpoczął pod kierunkiem profesora Manfreda Kridla. Przerwany przez wybuch wojny przewód wznowił i ukończył i z akceptacją na rok przed śmiercią profesora Kridla. Metody wileńskiego promotora ukształtowały jego podejście do badań naukowych i tej szkole (Kridla i Wójcickiego) przy pewnym zindywidualizowaniu pozostał lojalny. O wartości dzieła literackiego decydowały wyłącznie składniki artystyczne i ich

kompozycja.



Józef Bujnowski (z prawej) i prof. Andrzej Żaki na tarasie Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie, fot. arch. Heide Pirwitz-Bujnowskiej, żony poety.

Profesor Alicja H. Moskalowa, która pod kierunkiem Bujnowskiego napisała pracę doktorską poświęconą poezji, w wykładzie inauguracyjnym na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie w 1998 roku wyodrębniła szereg cech charakterystycznych dla jego naukowej i poetyckiej postawy. Pozwolę sobie tu je w skrócie przytoczyć.

1. Badania nad literaturą jako taką, czyli nad twórczością

artystyczną wyrażoną w słowach, a nie nad życiem prywatnym literatów i wpływem ich życiorysów na jakość słowa poetyckiego.
2. Analiza utworów pod kątem ich wartości estetycznych, pod kątem ich struktury, a nie zajmowanie się wartościowaniem utworów literackich, szczególnie z punktu widzenia ich przydatności narodowej, czy też tzw. zamówienia społecznego.
3. Służebność sobie a muzom (wierność sobie?), a nie służebność wobec idei/ideologii pozaliterackich.
4. Bunt przeciwko tradycyjnej poezji.
5. Awangardowość i związane z nią eksperymentowanie słowem, formą i układem graficznym wiersza.

Piętno tego warsztatu krytycznego odpowiednio modyfikowanego dostrzec można we wkładzie Bujnowskiego w monumentalne dzieło powstałe pod redakcją Tymona Terleckiego „Literatura polska na obczyźnie 1940-1960" p.t. „Esej, szkic literacki i krytyka artystyczna w literaturze polskiej na obczyźnie 1940-1960". Znakomitą pracę „Przemiany we współczesnej poezji polskiej. Trzy wykłady", wydrukował miesięcznik „Kontynenty" w 1964 i 1965 roku. PUNO wydało ją w osobnym zeszycie w 1968 roku. Godzi się też wspomnieć jego kontrowersyjny szkic „Niektóre uwagi o tzw. IV Systemie wersyfikacyjnym" (1973). Poezja konkretna doczekała się również fachowego opracowania jego pióra. Nie sposob

wymienić wszystkich rozpraw i szkiców w książkach zbiorowych i naukowych czasopismach. Niektóre z nich ukazały się w języku niemieckim i holenderskim.

Prace naukowe są owocem jego długoletniego stażu jako pedagoga. Już w Polsce zatrudniony był w szkolnictwie średnim, uczył potem we Włoszech żołnierzy polskich. Zorganizował filologię polską na uniwersytecie w Amsterdamie, gdzie wykładał literaturę polską i teorię literatury przez osiem lat, jeden semestr wykładał w Heidelbergu, przez jakiś czas w *School of Slavonic and East European Studies* w Londynie. Na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie był czynny przez przeszło trzydzieści siedem lat jako wykładowca akademicki, dziekan i członek senatu. Był świetnym nauczycielem, który potrafił sobie zaskarbić wdzięczność i pamięć uczniów i studentów.

Udzielał się również społecznie prezesując Polskiemu Towarzystwu Naukowemu, piastując godności w Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, organizował kongresy i zjazdy, redagował książki . Miał wielki szacunek dla instytucji akademickich i lojalnie im służył. Był jednym z najgorętszych obrońców integralnośćí PUNO, kiedy zaistniał zatarg i czasowe przejęcie steru i sekretariatu przez osoby niewłaściwe.

Mieszkając przez wiele lat w tym samym mieście, widywaliśmy się często, a kiedy później odwiedzałem Londyn, chętnie

korzystałem z gościnnego domu Józefa i Heide Bujnowskich. Wyjazd z Anglii na stałe w roku 1969 spowodował potrzebę korespondencji i tak, po powrocie Bujnowskiego z Holandii, wymieniliśmy sporo listów. Dużo było w nich spraw zawodowych, wiadomości o Wydziale Humanistycznym, którego przez wiele lat Bujnowski był dziekanem. Były raporty z zaocznych studiów i egzaminów, które prowadziłem w Kanadzie. Dyskutowaliśmy sytuację w PUNO, kiedy znalazło się w kryzysie i trzeba było dać odpór uzurpatorom używającym uniwersytetu do swoich celów. Wymienialiśmy listy w sprawie programu Kongresu Wolnej Kultury Polskiej w 1985 roku oraz mojego w nim udziału. Informowaliśmy się o powstawaniu Niezależnego Instytutu Naukowego, wreszcie o sytuacji w Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

Nic dziwnego, że przy takim natężeniu spraw publicznych cierpiała twórczość literacka. O niej były w listach nieomal same utyskiwania, jak to ona musi czekać na lepsze czasy. Raz po raz trafiały się wtręty:

> […] trzeba wydać w końcu różne „finicjały”, które od dziesięciu lat leżały pogardliwie odrzucane do szuflady wobec „poważniejszych” zajęć.

W tym samym liście (z roku 1979) Bujnowski dodał kryptycznie:

> […] te „rzeczy mało ważne” będą kiedyś najważniejsze.

O innych autorach rzadko wspominał. No, boczył się kiedyś na Marię Danilewiczową Zielińską, której przypisywał wprowadzenie zamieszania do pisania o literaturze emigracyjnej.

> Pytasz robi coś takiego z Garlińskim: wszystko to amatorszczyzna. Czytałem próbny tekst o poezji i nie zachwyciłem się: słabe!

Nie był też zwolennikiem „Słownika literatury polskiej XX wieku” wydanym przez Ossolineum. Komentował: „A wstyd! Nic o nas nie wiedzą!”. Kiedy indziej doniósł:

> Straszliwie został zjechany w kraju Jerzy Niemojowski, a pod niebiosa go wynosi mój Tymoteusz Karpowicz! Quod homines tot sententiae!

W styczniu 1999 roku przyjechała do niego do Londynu Telewizja Polska, aby zrobić z nim wywiad na temat Teodora Bujnickiego. Powinna była również, czy przede wszystkim, zrobić wywiad na temat Józefa Bujnowskiego. Jest winna bardzo poważnego

uchybienia.

Józef Bujnowski, doktor honoris causa PUNO, kawaler Krzyża Walecznych i orderu Polonia Restituta, zmarł w Londynie 15 lutego 2001 roku.



Józef Bujnowski (z lewej) i Florian Śmieja, fot. arch. Heide Pirwitz-Bujnowskiej, żony poety.

Andrzej Julian Żaki *(1923-2017) – polski archeolog, członek*

Polskiej Akademii Umiejętności, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, profesor Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie w Londynie oraz Uniwersytetu w Limie. Prowadził wykopaliska m.in. na Wawelu, Przemyslu, Czorsztynie, Nowym Sączu odkrywając liczne zabytki z epoki przedromańskiej i romańskiej (na podst. wikipedii).

Pierwsza część:

https://www.cultureave.com/trzeba-zrozumiec-porzadek-rzeczy-jozef-bujnowski-1910-2001-czesc-i/

Trzeba zrozumieć porządek rzeczy.

Józef Bujnowski (1910-2001). Część I.

Florian Śmieja

Kiedy na jesieni 1950 roku przyjechałem do Londynu jako świeżo upieczony absolwent filologii angielskiej i hiszpańskiej Narodowego Uniwersytetu Irlandii w Cork, społeczność polska czekała niecierpliwie na rychłe otwarcie kursów filologii polskiej w ramach Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie (PUNO). Na tych wykładach obok wytrawnych profesorów sprzed wojny jak: Władysław Folkierski, Stanisław Stroński, Zygmunt Zaleski, gen. Marian Kukiel czy Mieczysław Giergielewicz, poznaliśmy młodszych pracowników, którzy jak w wypadku mgr Józefa Bujnowskiego, poety i polonisty, po przebyciu całej kampanii włoskiej z II Korpusem gen. Władysława Andersa, a przedtem po doświadczeniu więzień i łagrów sowieckich, palili się do pracy z młodzieżą polską.



Józef Bujnowski, Teheran 1943 r., fot. arch. Heide Pirwitz-Bujnowskiej, żony poety.

Jako wychowanek Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, oprócz sumiennego prowadzenia zajęć dydaktycznych w ramach wybranych studiów, zachęcał swoich słuchaczy do dodatkowych aktywności. Na wzór Wilna zaproponował, by studenci założyli Koło Polonistów. Na spotkaniach tego Koła, na które przychodzili głównie studenci PUNO, ale także osoby z zewnątrz, Bujnowski, który z przyzwoleniem dziekana Stanisława Strońskiego, został *de facto* opiekunem Koła, mógł przedstawić swoich ulubionych

poetów i zapraszać nas do analizy poszczególnych wierszy po raz pierwszy przez nas spotykanych autorów: Józefa Czechowicza i Stefana Borsukiewicza. Był to rok 1951. Już taki wybór dawał okazję do poznania poezji najnowszej, młodym nie znanej. Pamiętam jak przykładaliśmy się do sumiennego rozbioru i komentarza proponowanych, odręcznie przez Bujnowskiego przepisywanych na osobnych kartkach, tekstów poetyckich. Podziwiałem wtedy, dobrze to pamiętam, solidną pracę Wandy Chruściel, a wśród swoich papierów nadal przechowuję opatrzony adnotacjami, skrupulatnie komentowany przez Bujnowskiego, tekst wiersza Borsukiewicza. Może znamienne jest, że takie właśnie nazwiska patronowały początkom teoretycznego zainteresowania, a następnie powstawaniu pierwszych naszych własnych wierszy.

Niektorzy członkowie Koła nie tylko czytali, studiowali i dyskutowali lekturę, ale sami pisali wiersze, które mogli drukować na otwartych dla nich łamach „Życia Akademickiego", strony w katolickim tygodniku społeczno-kulturalnym „Życie", redagowanym najprzód przez Józefa Kisielewskiego, a potem przez Jana Bielatowicza i Jana Tokarskiego. Ta studencka strona miała swojego redaktora i stała do dyspozycji młodych Polaków studiujących w Anglii, a zwłaszcza w Londynie. Z czasem strona stała się osobną wkładką, a w końcu odrębną publikacją. Koło Polonistów dało tym początek pisma młodych współpracowników, a potem redaktorów.

W swej aktywności kulturalnej na rzecz młodych Polaków, którzy licznie pojawili się w Londynie zaraz po zakończeniu działań wojennych, Bujnowski poszedł jeszcze dalej, zakładając Polskie Towarzystwo Literackie, PTL, pewnego rodzaju spółdzielnię autorską mającą umożliwić drukowanie przede wszystkim tomików poezji ludziom nie mogącym liczyć na dotacje, a nie dysponującym dużymi środkami materialnymi. W ramach samopomocy na zakupionych przez Bujnowskiego prostych maszynach drukarskich zainteresowani mogli drukować, ręcznie składać tekst, odbijać go, ciąć papier i zszywać swoje książki, głównie debiuty. Była to akcja pożyteczna i cenna z uwagi na połączenie czynności pisarskiej z poważaną tradycyjnie sztuką drukarską. Nazwa budziła zastrzeżenia czułych na nazewnictwo polskich kół emigracyjnych. Może dlatego, a także z powodu wyjazdu Bujnowskiego do Holandii na uniwersytet w Amsterdamie, instytucja wydawszy garść debiutów: wierszy Wojciecha Gniatczyńskiego, Zygmunta Ławrynowicza i Floriana Śmieji oraz tomiki Jerzego Niemojowskiego i Józefa Bujnowskiego, przestała istnieć. Niemniej, raz jeszcze inicjatywa dynamicznej osoby stworzyła fakty dokonane, które umożliwiły kilku osobom przejście przez poetycki chrzest bojowy, a ich debiuty stały się zapowiedzią dochodzenia do głosu młodego pokolenia dojrzewającego poza granicami Polski, a przecież z jej kulturą najintymniej związanego. Bujnowski nie tylko opiekował się troskliwie adeptami pióra, pomagał im wydać pierwsze książki, ale ponadto nie uchylał się od ich propagowania na

forum publicznym. I tak na wieczorze autorskim trzech debiutantów: Wojciecha Gniatczyńskiego, Zygmunta Ławrynowicza i Floriana Śmieji w Ognisku Polskim w Londynie 27 kwietnia 1954 roku pod przewodnictwem profesora Stanisława Strońskiego, właśnie Józef Bujnowski wygłosił słowo wstępne.

Pięćdziesiąt lat własnej twórczości poetyckiej Bujnowski zaczął publikacją tomiku „Pęknięty tor" w 1937 roku w Bracławiu, ostatni zbiór, „Spod gwiazdozbioru Wielkiego Psa", wyszedł w Warszawie w 1987 roku. W sumie było ich czternaście. Także w Warszawie w 1993 roku wyszedł „Wybór poezji". Wydać by się mogło, że to dużo i że powinny się były zsumować w poważne dokonanie poetyckie. Rzecz wszakże ma się inaczej. Jego dzieło rozdzieliła cezura wojny, a potem, na margines odsunęła praca pedagogiczna i społeczna oraz twórczość naukowa.

Dwie przedwojenne publikacje zapowiedziały przyszłego czupurnego poetę. Ich tytuły „Pęknięty tor", a zwłaszcza „Pięścią w twarz – kwiatami pod nogi" ogłaszały przekorny bunt młodego entuzjasty, który szykował się do potrząsania „nowości kwiatem" i zwalczania zastałych form poetyckich. Jako prezes Klubu Błękitnych stanął po stronie Awangardy Krakowskiej w walce z konwencjami i zamkniętymi strukturami panującej poetyki.

Potem była wojna, front, więzienia sowieckie i łagry, wojsko

polskie na Bliskim Wschodzie. Następny tom ukazał się dopiero w Palestynie w 1943 roku. Były to „Ręce od brzegu”, a w 1945 r. wyszły „Brzozy w płomieniach”, proza poetycka i cykle wierszy żołnierskich oraz „Powroty”, nazwane tak od tytułu trzeciego z cyklów wierszy tomiku, wierszy już pisanych na tematy ogólne, wydanych w Hanowerze w 1947 roku. Motywowany podniosłością czasów, Bujnowski w dwu pierwszych zbiorach podjął tematykę wojenną, żołnierską, łącząc ją z poetyką awangardową. Rozumiał, że była to czynność nieomal bezwiedna, żywiołowa, potrzebna, o historyczno-społecznej wartości. Te teksty wychowywaly, uświetniały okazje, podnosiły na duchu. Jeżeli przytrafiały się poetyckie wartości, to nie one były najważniejsze. Był to obowiązek chwili, jak się miał później wyrazić „los stanowił o kreowaniu słowa i od tego nie ma ucieczki”.

Powstanie już w Londynie osobliwego tomu „Odsyłacz w bezsens” w 1955 roku autor tłumaczy w wywiadzie udzielonym po latach Wojciechowi Ligęzie (Arka 34):

> W pierwszej fazie to nie był eksperyment zamierzony – to był przypadek. Znalazłszy się w Anglii, w polskiej szkole dla już dorosłej młodzieży, położonej w powojskowym obozie, gęsto zalesionym, gdzie nocami hukały sowy i przebiegały drogę bażanty, w okresie tuż – powojennym, w sytuacji wojny

> bohatersko przegranej, trudno było o sielankowy spokój i pogodę ducha. Na urwanych szpargałach papieru, na marginesach książek i zeszytów, podczas posiedzeń pedagogicznych, na lekcjach i w przeróżnych okolicznościach – pisało się jakieś bazgroły, bez zamiaru użycia ich na serio jako utworów poetyckich. Ale nazbierało się tego sporo i pewnego dnia spróbowałem to odczytać. Była to pierwszorzędna zabawa: odkryłem w tych bazgrołach mój onegdajszy niepokój, właśnie w tym rozłożeniu słów i wersów, w odwrotnych i poprzestawianych literach. Zastanawiałem się, co z tego uratować, jak to w przyzwoitym kształcie przedstawić. I każda próba była klęską: (…) niepokój wymykał się bezpowrotnie, ginął. Zdecydowałem się go zatrzymać. Przetłumaczyłem szpargały na maszynopis. Później mój Krzysio Gostyński maszynopis przełożył na skład zecerski.

Pamiętam zacnego Krzysztofa Gostyńskiego, zecera, miłośnika poezji, bardzo przywiązanego ucznia Józefa Bujnowskiego i motocyklistę. Motocykl to była inna jego, bardziej niebezpieczna, pasja.



Józef Bujnowski, Włochy 1945 r., fot. arch. Heide Pirwitz-Bujnowskiej, żony poety.

Napisaną w 1949 roku igraszkę poetycką „O kobietach, diabłach i rycerzu” ogłoszoną w londyńskich „Pokrzywach” w 1958 roku wydało PTL w 1964 roku. Autor uważał, że obok „Ballady o chorym księżycu” Beaty Obertyńskiej był to jedyny utwór żartobliwy, który ukazal się na emigracji cierpiącej na przesadną powagę swojej poezji. Znamienna też jest historia innej jego publikacji, „Lipowego witraża” z roku 1954. Ten tomik zawierający piętnaście utworów powstał dzięki zachciance

byłego ucznia Bujnowskiego, który na małej drukarce postanowił wydać tomik wierszy, a otrzymawszy przyzwolenie autora, teksty sam zredagował i wydał opatrując własnym tytułem..

W innych zbiorkach Bujnowski buńczucznie celebrował swoją wolność poety nie krępowanego zwalczanymi konwencjami. Ale czy nie stwarzał innej, własnej?

> Ja:
>
> Prezydent Metafory
>
> Burmistrz Elipsy
>
> Magnificencja Oxymoronu
>
> Erektor Poetyckiej Licencji
>
> ogłaszam
>
> ……..
>
> KONSTYTUCJĘ RZECZPOSPOLITEJ POEZJI

Podkreślał niezwykłą wagę przykładaną do swojego dzieła. Był świadomy wielkości aktu twórczego pisania poezji:

> Kładę znak słowo
>
> tak wiele
>
> dźwięk i znaczenie
>
> symbol i struna i tęcza
>
> stylizowana:
>
> papierowy kwiat
>
> i ściana
>
> za którą stoję ja:
>
> józef bujnowski

Postronny obserwator wyciągnie wniosek, że wiersze Bujnowskiego powstawały na marginesie innych zajęć zawodowych i prywatnych, że ukazywały się nieraz przypadkowo, że nie mamy do czynienia z poważną, systematyczną twórczością i publikowaniem. Wymowna duża luka powstała między rokiem przedostatniej publikacji poetyckiej w 1964 r. a ostatniej w 1987 r. Zapewniał autor, że nie była to przerwa w twórczości, ale poniechanie publikowania tomów wierszy. Nie godzi się także z zarzutem, jakoby jego zajęcia pedagogiczo-naukowe zdominowały w nim poetę. Powołuje się na pojedyńcze wiersze, które wtedy napisał, choć nie ukazała się żadna nowa książka poetycka. Sugeruje, że pedagogika i poezja uzupełniały się nawzajem.

Niemniej, ta długa luka jednak o czymś świadczy, choć autor próbuje ją racjonalizować. Wskazuje na sytuację zagubienia, znalezienia się na rozdrożach. Sceptycyzm, co do sensu ogłaszania nieomal prywatnych druków na emigracji, mógł był ścierać się z rosnącymi ambicjami znalezienia się w normalnym polskim obiegu, którego możliwości zaczęły się rysować na horyzoncie. To, co dawniej było mocno krytykowane, co było nie do pomyślenia, stawało się realne. Pierwsze niecenzurowane tomiki emigracyjnych poetów zaczęły się ukazywać w Polsce. Bujnowski przeczytawszy u Piotra Kuncewicza, a więc w

publikacji, którą cenił, że należy do poetów nieznanych, mógł także zapragnąć znaleźć się na polskich półkach. Ale z czym? Czyżby jego utwory na wpół eksperymentalne, a na wpół żartobliwe były właściwą wizytówką dla polskiego czytelnika, który przedtem o poecie nie słyszał?

Te lata niepublikowania świadczą, sądzę, o rozterce. Owszem, ważne zajęcia i praca nie tylko pedagogiczna, ale także naukowa były przeszkodą, ale również pretekstem do pauzowania w publikowaniu poezji. Moim zdaniem poeta powoli przechodził na inne pozycje. Nie sprzeniewierzając się awangardowym predylekcjom, zaczął pisać na inny sposób, łacniej nawiązując z czytelnikiem kontakt. Znalazł nieobowiązujący, niekoturnowy ton, beztroski humor i bezpośredniość, których brakowało jego eksperymentującym, konstruowanym wierszom.

Pojawiła się w nich dojrzała nonszalancja, która zaowocowała utworami podobającymi się, kto wie, czy nie najlepszymi, bo właśnie spontanicznymi, samorzutnie powstałymi na długo kultywowanym podłożu, gdzie erudycja, lekkość i żart splotły się w pamiętny sposób. Ten zbiorek, wydestylowany długim ugorowaniem, dobrze anonsował poetę Bujnowskiego nowemu czytelnikowi w Polsce. Ponadto ukazanie się „Spod gwiazdozbioru wielkiego psa” w 1987 roku stało się podwójną niespodzianką. Tom wyszedł nakładem znanego wydawnictwa. Drugim zaskoczeniem jest inność zaprezentowanych utworów.

Są różnorodne formalnie, pogodne, atrakcyjne. Wcale nie taki skromny to tomik jak twierdzi jego autor. Brakuje książeczce przedmowy, zbyt ascetycznie wypadła nota na tylnej okładce, choć podaje tytuły wszystkich tomów poetyckich, za co wydawcom chwała.

Pierwszy utwór „Miasto po latach” aczkolwiek bez szczególnego adresata jest pewnego rodzaju wyznaniem poetyckim. Nie chce autor być piewcą urbanistyki, ani zabiegać o poklask plebsu:

> Wolałbym już
>
> kasztel wznosić na żart
>
> zwodzony most
>
> za murami
>
> mojej
>
> ekskluzywnej
>
> estetyki

Mieszkańców tego Babilonu ukazuje z kolei Bujnowski niby postacie w tańcu śmierci przepowiadając im śmieszność i przemijanie. A nauka?

> Ważny jest każdy krok
>
> chyba
>
> każda sekunda
>
> dana ci w podarunku

Były to jeszcze czasy czujnej cenzury, która usunęła z wiersza „Choć nie ma tu miejsca na pogardę” ustęp:

> w którym straszą
>
> maski

> Hitlerów
>
> Stalinów
>
> Rooseveltów
>
> Churchillów
>
> namiestników bożych na ziemi

Dalszy ciąg ukaże się we wtorek, 19 marca 2019 r.

Ujmująca postać

polskiego Londynu. Tola Korian (1911-1983).



Wieczór poezji Stanisława Balińskigo, od lewej: Wojciech Piekarski, Tola Korian, Stanisław Baliński, Hanna Rawicz, Stefan Gołębiowski, fot. Teatr Nowy, Londyn.

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Ci wszyscy, którzy w czasie wojny i po wojnie byli w Anglii pamiętają, że jedną z najbardziej ujmujących postaci barwnego korowodu osobowości polskiego Londynu była Tola Korian (1911-1983), wspaniała artystka dramatyczna i uroczy człowiek.

W mojej pamięci pozostanie jako wybitna recytatorka poezji polskiej i subtelna odtwórczyni piosenek i liryków na scenie londyńskiego "Ogniska", ale także nieprzeciętna pani domu organizująca wystawną kolację w wynajmowanym mieszkaniu w Chicago, czy z dumą pokazująca odnowiony po powrocie do Londynu dom na Putney.

Zapamiętam też jej troskliwą opiekę nad Tymonem Terleckim. Pewnego rana zgłosiłem się z magnetofonem do mieszkania Jadwigi i Adama Tomaszewskich w Toronto, u których się zatrzymali Tola i Tymon Terleccy podczas tury po Kanadzie i USA. Umówiłem się na rozmowę z Tymonem. Wspominał poetów przedwojennych, z którymi się stykał. Gdy rozmowa, a raczej uskrzydlony monolog Tymona, który utrafił w natchniony ton reminiscencji, przeciągała się, weszła w pewnym momencie cicho, ale zdecydowanie Tola, aby nam sesję przerwać. Obawiała się, że mąż się przemęczy. Któż mógł wtenczas przypuszczać, że to właśnie ona, doskonała opiekunka, była bardziej zagrożona niż przedmiot jej troski?



Tola Korian, fot. Teatr Nowy, Londyn.

Kto Toli nie znał, znajdzie wiele wspomnień o niej w książce wydanej w Londynie w 1984 roku. Fotografie i serdecznie pisane wspomnienia przybliżają człowieka i utrwalają jej dokonania. Brakuje wśród nich wyczerpującego życiorysu (ja taki przypadkiem posiadam, i to w opracowaniu samej Toli z czasów, gdy ubiegała się o pozycję na naszym uniwersytecie Western Ontario). Z materiałów zawartych w tomie szczególnie polecam szkic Jadwigi Jurkszus Tomaszewskiej, napisany z polotem i

sumiennością. Jest on nie tylko najobszerniejszy w tomie, ale i najambitniejszy i pisany *con amore*. Jego autorka konkluduje:

> Poznanianka z urodzenia, poliglotka, kosmopolitka, znająca na wylot Europę i niezgorzej drugą półkulę, była przede wszystkim Polką, bez celebracji, bez słów. Na codzień, a żarliwie.



Tola Korian na scenie, fot. StareMelodie.pl

Tola Korian na zdjęciach:

http://www.cultureave.com/zycie-piosenka-uslane/

Ermitaż nad Tagiem. Maria Danilewicz-Zielińska.



Maria Danilewicz-Zielińska, po osiedleniu się w Portugalii, w pobliżu Lizbony, nazywana „Latarnikiem w Feijó”, fot. Ludomir Danilewicz, ze zbiorów Stanisława S. Niciei.

Florian Śmieja

W emigracyjnym polskim Londynie lat wojennych i powojennych roiło się od instytucji i ludzi. Byli też ludzie-instytucje. Jedną z niekwestionowanych osób tego rodzaju była Maria Danilewiczowa, energiczna kierowniczka Biblioteki Polskiej w dzielnicy Kensington, wysoka, przystojna blondyna, cieszyła się respektem i sympatią wielu czytelników. Pewnie do wszystkich klientów i petentów biblioteki podchodziła życzliwie, ale młodych, a szczególnie adeptów pióra, hołubiła najcieplej. Podsuwała im lekturę, chętnie radziła, czytała ich pierwsze utwory, służyła opinią, promowała ich na łamach prasy, wymieniała w swoich wystąpieniach publicznych.

Kiedy w latach pięćdziesiątych pojawiły się w Londynie polskie pisma młodzieży akademickiej, znalazły w pani Marii gorliwą orędowniczkę i sympatyczkę, a nawet chętną współpracowniczkę, autorkę wczesnego szkicu o literaturze emigracyjnej.

Poznaliśmy ją ponadto i cenilismy jako prelegentkę i autorkę licznych artykułów w czasopismach literackich, wreszcie jako prozaika, twórcę opowiadań i powieści, także jako krytyka piszącego wnikliwe szkice.

Urodzona 29 maja 1907 roku w Aleksandrowie Kujawskim Maria

Ludwika Markowska studiowała polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim uzyskując magisterium w 1929 roku. O krajobrazie dzieciństwa wspomniała później w jednym z listów. Pocieszała mnie w nim po jakiejś literackiej utarczce.

> Łobodowskim przejął się Pan więcej ode mnie. Ja nie traktuję go poważnie i nawet nie trudzę się, by mu odpowiadać, choć popełnił kilka zasadniczych pomyłek. Przypisał mnie np. do Włocławka, a ja – choć urodzona na Kujawach – byłam w tym zacnym grodzie nadwiślańskim niespełna trzy lata w końcowych klasach gimanzjum, a wakacje spędzałam na obozach harcerskich pod nosem Łobodowskiego, bo w Zwierzyńcu Ordynackim w pobliżu Zamościa. Na dodatek Ojciec mój wychowywał się w Lublinie i tam kończył gimanzjum. Wyrosłam więc nie tylko w zasięgu miazmatów kujawskich. To raczej… Prymas Wyszyński, Pietrkiewicz, Kuncewiczowa, Nowakowski (Zygmunt, przyp. FS), a także Tadeusz Nowakowski związani byli z Włocławkiem. Katedra, której się oberwało, że jest neogotycka, jest autentycznym zabytkiem z XIV w. itd. (To odżegnywanie się od zażyłości z Włocławkiem nie przeszkodziło w tym, że została honorowym obywatelem miasta Włocławka).

Do wybuchu wojny w 1939 roku pracowała w Bibliotece Narodowej. Opuściwszy Polskę przez trzy lata przebywała we

Francji, a następnie przez Lizbonę dotarła do Anglii. Wróciła tam do bibliotekarstwa i do roku 1972 prowadziła Bibliotekę Polską. Współpracowała z pismami polskimi i brytyjskimi drukując głównie prace bibliotekoznawcze i bibliograficzne, także katalogi wystaw, przyczynki naukowe i teksty literackie.

W roku 1953 tomem opowiadań „Blisko i daleko" zadebiutowała jako prozaik. Trzy lata później również w wydawnictwie Veritas ukazała się jej powieść „Dom". W roku 1960 wyszedł tom szkiców literackich „Pierścień z Herkulanum i płaszcz pokutnicy".

Jej długoletnie zainteresowanie piśmiennictwem emigracyjnym zaowocowało, po szeregu próbnych prac, książką „Szkice o literaturze emigracyjnej" w roku 1978, wydane powtórnie w Paryżu, a następnie . poszerzone w Polsce w Ossolineum. W 1992 wyszedł w Warszawie zbiór szkicow literackich i historycznycn „Próby przywołań". Posypały się różne inne publikacje i wznowienia.

Po przejściu na emeryturę i przeniesieniu się po śmierci męża do Portugalii jej aktywność, teraz już Zielińskiej (wyszła powtórnie za mąż), nie osłabła. Nie zamknęła się w ślicznym domku pod Lizboną którego białe ściany obwieszone były starymi mapami Polski oraz kopiami listów królów polskich, wśród wiecznozielonych aromatycznych krzewów i kwiatów, choć

sprawiały jej wiele radości. Komentując kiedyś moje fotografie przysłane z Kanady, śnieg i nikłą roślinność dodała:

> […] u mnie pod samym oknem kwitnie hibiscus, a w ogrodzie szaleją nasturcje i nagietki i jakieś kwiatowe odmiany bardzo urodziwych słoneczników hodowanych dla piękności kwiatów.

Jej ulubionymi kwiatmi były fuksje. W innym liście pisała, że patrząc ze swojego okna

> […] podziwiam czerwono-fioletowe fuksje, które w tym roku oszalały i uginają się pod ciężarem kwiatów. Nazywają się ładnie po portugalsku: *„brincos de princesa”* (klejnociki księżniczki – FS). W pobliżu kwitną nagietki – nasze polskie nagietki – portugalska nazwa *„maravilhas”* trafiła do „Księcia Niezłomnego” – Słowacki ich nie utożsamił, a brzmienie nazwy mu się najwidoczniej podobało.

Choć mieszkała w Portugalii, nadal uczestniczyła w jury nagród pisarskich. Tak motywowała wybór jednego z nagrodzonych Nagrodą Kościelskich poety:

> Nagrodę emigracyjną otrzymał Bolesław Kobrzyński, autentysta, autor wierszy wojennych, od lat przebywający w szpitalu. Nagroda umożliwi przypomnienie jego twórczości, wczorajszej – to prawda, ale korzystnie odcinającej się od tradycyjnych wierszy wojennych pisanych przy biurku przez przysięgłych cywilów.

Ten szpital odwiedziłem kiedyś na zaproszenie poety Bronisława Przyłuskiego. Wśród słuchaczy był również Kobrzyński. Zabierał głos bardzo interesująco, potem mnie odprowadził do autobusu. Wtedy dopiero objawiły się jego lęki i ukazała przyczyna jego hospitalizacji. Korespondowaliśmy trochę. On mi przysyłał długie, pięknie kaligrafowane wiersze, których pisał dużo. Ja mu dostarczałem papieru i znaczków.

Wieści nadchodzące z samotni pani Marii niekiedy potrafiły zadziwić. Zakomunikowała raz takie spostrzeżenie:

> Czy zauważył Pan, że w r.1989-91 wydarzyło się coś ze wszech miar godnego uwagi, co i Pana bezpośrednio dotyczy. Prawie równocześnie, w odstępach paru miesięcy, mimo trudnych warunków wydawniczych pojawiły się „Wiatr z innej strony” Bogdana Czaykowskiego, „Niespodziewane żywoty” Jana Darowskiego, co najmniej dwa tomiki

> Bolesława Taborskiego (“Szekspir” i „Polityka”), „Jesień” Adama Czerniawskiego – a niewiele wcześniej zebrane wiersze Zmarłych Ławrynowicza i Gniatczyńskiego. Do tego trzeba dodać działalność na pokrewnych polach: Jerzego Sity jako wydawcy i Taborskiego w BBC („Sztuka nad Tamizą”). Obserwując to zjawisko dochodzę do wniosku, że stoimy wobec „powtórnego debiutu” czy renesansu grupy poetów londyńskich. Jest to zjawisko na miarę „wybuchu” twórczości Skamandrytów w 1939/40. Może mi Pan odpowiedzieć, że niektorzy wymienieni pisali i publikowali „ciurkiem” (jak się mawia w sekcji Polskiej BBC) – ale zgodzi się Pan, że najnowszy zbieg okoliczności ma swoją wymowę, zwłaszcza, że z wyjątkiem przedwcześnie zmarłych, nic nie zapowiada, by nie było dalszego ciągu (np. Busza). Dla mnie, kronikarki literatury emigracyjnej, z musu porywającej się na hierarchizowanie, jest to wydarzenie wielkiej wagi, bo w pewnym stopniu oznacza przedłużenie literatury emigracyjnej, bo przecież chcąc nie chcąc jesteście par excellence poetami i pisarzami rezprezentującymi tę emigrację i to w stopniu wyższym od wielu lansowanych przez niektóre koła (zwłaszcza w Kraju) wielkości *emigracyjnych* (Wat!).

Posyłałem jej niekiedy ciepłe jeszcze tomiki moich wierszy.. Po odebraniu „Ziem utraconych” tak do mnie napisała: „To

najlepsze Pana wiersze. Jak Staff i jak Wierzyński pisze Pan im później, tym lepiej. Zna Pan zapewne opinie o profesorach niemieckich: najlepsze prace piszą na emeryturze. Myślę, że odnosi się to – ogólnie biorąc – także do poetów a do Pana w szczególności. Gratuluję i zachęcam do 'Medytacji', podsumowania grzechów (nie) wielkiej Emigracji i nie bania się Smutku ludzkiego a Smętka narodowego. Balansuje Pan zręcznie między Tradycją a POSTmodernizmem i uchował się Pan przed 'obowiązkiem' deklarowania wierności Jungowi, Derridzie i Bachtinowi".

Zdarzało się, że jakiś pojedyńczy wiersz spodobał się na tyle, że powodował niespodziewane, obszerne komentarze.

> Bardzo mnie wzruszyło „Życie pozagrobowe". Przystaje do mojej sytuacji („Więcej wśród nas umarłych"), gdy tkwię samotnie i „przecież żyję", a mam przed sobą raptownie się zwężający margines czasu i blisko terminowe spotkanie ze śmiercią, bez gwarancji, że spotkam się z bliskimi, których widma (fantazmy?) krążą po nocach tak realistycznie, że po przebudzeniu z trudem oddzielam marę od otaczającej mnie rzeczywistości i, mimo wszystko, obcego otoczenia. A przecież nie umiem i nie chcę oddalać się stąd, a że i wiek i stan zdrowia dyktują spokojną egzystencję, więc siedzę (teraz przy otwartych na ogród drzwiach […].

Pani Maria zawsze reagowała na wspomnienie ludzi, których znała. Kiedy zmarł stryj mojej żony, Juliusz Poniatowski, napisała:

> Pana Juliusza znałam długo i dobrze. Jeszcze z czasow, gdy pisałam o Krzemieńcu i często jeździłam na Wołyń. A i w Warszawie, gdzie widywałam go najczęściej u tzw. „starego Stempowskiego". To był wspaniały człowiek.

Kiedy indziej widocznie poskarżyłem się listownie na Iwaniuka, na co nadszedł taki jej komentarz:

> Niepotrzebnie przejmuje się Pan Iwaniukiem. To bardzo nieprzyjemny facet. Miałam z nim takie przejście. Przysłał do Biblioteki tom swoich wierszy. W podziękowaniu był błąd maszynowy w nazwisku (na kopercie brzmienie było prawidłowe). Przegapiłam, podpisałam. Zareagował ordynarnym listem, a tak się złożyło, że na krótko przed tym w decydujący sposób pomogłam do przyznania mu nagrody Kościelskich, bo moi Koledzy z Jury wierszy jego (poza Jeleńskim) nie czytali. Złośliwiec zakompleksiony.

Pani Maria raz po raz zachęcała mnie do pisania do rocznika

„Antemurale” pragnąć ożywić badania na odcinku ibericów. Okazało się, że nawoływała bez skutku. Sama zaś, znalazłszy się na nowej ziemi zajęła się gorliwie luso-polonikami. Jej mąż Adam Zieliński zebrał dwadzieścia kilka utworów poetów portugalskich dziewiętmastego wieku dotyczących Polski, a wywołanych echami powstania styczniowego. Na próżno usiłowano mnie wciągnąć do współpracy. Usprawiedliwiałem się słabą znajomością portugalskiego i innymi pilnymi obowiązkami. W końcu powstały z tego 34 felietony radiowe p. Marii o luso-polonicach. W „Wiadomościach” natomiast pojawiły się bogato ilustrowane, ciekawe artykuły o Luzjadach. O ile sygnały emigracyjne były niesprzyjające (nie interesował ponoć czytelnika polskiego Camoes), z Polski nadszedł list profesora Stefana Kieniewicza, specjalisty od roku 1868 przyznający, że autor nie wiedział nic o tej fali sympatii dla Polski w Portugalii.



Maria Danilewicz-Zielińska – twórczyni i dyrektorka Biblioteki Polskiej w Londynie, fot. ze zbiorów Stanisława S. Niciei.

Także wydaniu „Mickiewiczian” towarzyszyły opaczne sygnały. Pani Maria w 1991 roku napomknęła, że „Mickiewicziana przeszły bez echa”, ale sądzę, że pozostaną one trwałym świadectwem jej edytorskiego zapału. Nie była to robota wcale łatwa.:

> […] opracowanie ich kosztowało mnie ponad rok życia, ale była to praca emocjonująca i chyba celowa. Dwa dalsze lata

> pochłonęła walka z drukarniami – absurdalna, bo książka ukazała się tylko pozornie nakładem „Arkad”, a w rzeczywistości sfinansował jej wydanie dr Tomasz Niewodniczański, właściciel opublikowanych obecnie autografów i jeszcze cenniejszego „Albumu Moszyńskiego”, który wejdzie do tomu drugiego, a zawiera robocze wersje wierszy z okresu rosyjskiego, w tym sonetów krymskich. Demonstruje tam Mickiewicz swój warsztat poetycki, wielokrotne nanoszenie poprawek (nie zawsze ulepszeń) itp.

Lata płynęły. Starszy mąż wymagał troskliwej opieki. Lekarz rozkładał bezradnie ręce słuchając opowieści o symptomach choroby i mawiał *idade*, wiek! Pani Maria poczuła, że i ją wysiłek zaczął męczyć, a tyle jeszcze chciała zrobić.

Szczęśliwym pomysłem okazał się mój wypad z Sewilli do Portugalii w roku 1988, kiedy prowadziłem w tym mieście kurs języka hiszpańskiego dla grupy kanadyjskich studentów. Poprzednio odwiedziłem podlizbońską samotnię z żoną i czworgiem dzieci w roku 1975 w sam gorący czas przewrotu w Portugalii, kiedy zbuntowane wojsko i czerwone watahy przewalały się złowieszczo ulicami smarując cudowną biel domów i kościołów czerwonymi gwiazdami, sierpem i młotem. Wydawało się, że padnie demokracja. Tym razem jechałem sam autobusem przez rzadko odwiedzane zakątki Ekstremadury. Przy

tej okazji nagrałem z panią Marią rozmowę, a raczej wywiad na temat literatury emigracyjnej. Wydrukował go Giedroyć w „Kulturze” i zapoczątkował całą falę publikacji na ten nagle modny temat. Pani Maria zanotowała całą sprawę wielkodusznie:

> […] wskrzesił mnie Pan swoim wywiadem, bo otrzymałam pod jego wpływem kilka listów, w tym pretensje, że za mało kocham londyński Związek Pisarzy.

Lecz nieubłagany czas zabrał męża. O swoim domu o nazwie *Romazeiras* pisała : „[…] to obecnie jednoosobowy damski klasztor trapistów”. Nie dawała jednak za wygraną. Podjęła inny temat:

> Usiłuję pisać wspomnienia. Kujawskie dzieciństwo i młodość jakoś dały się opisać, utknęłam na obrazie Dwudziestolecia, bo im dalej w lata, tym bardziej rozgałęziają się moje sprawy i „geograficznie” powiększa świat. Wcześniej napisane fragmenty o Londynie czekają na włączenie we właściwe miejsca, a całość się nie klei i chyba nie sklei. Giedroyć uważa, że moje życie było (i jest) ciekawe, co wydaje mi się błędną oceną, bo – co zarzucili mi Bednarczykowie – nie mam za sobą doświadczeń zsyłkowych i więziennych. Myślę jednak, że niektóre moje przeżycia i

> doświadczenia wymykają się szablonom, a samotność sprzyja rewizji ocen o dawnych doświadczeniach życiowych.

Odpowiadając późno, jak sądziła, na mój list napisała:

> Tłumaczy mnie, poza karygodnym lenistwem, mój podeszły (?) wiek – przed tygodniem skończyłam 88 lat i sama się dziwię, że jeszcze żyję, czytam, piszę, a nawet występuję w telewizji.

Powróciła też do poprzedniego tematu, do sprawy wspomnień.

> Piszę wspomnienia, ale w tej wczesnej brulionowej formie jest to raczej sprawozdanie czy „curriculum vitae” niż obraz subiektywny przeżyć w różnych epokach życia: krajowej (do 1939), francusko-angielskiej i portugalskiej (już 22 lata).

Doczekawszy dziewięćdziesięciu lat przyjmowała los filozoficznie:

> Czuję się, *„as well as it can be expected”* to znaczy łamią mnie kości na zmianę ,źle sypiam, to znow gnębi mnie

> senność – co usprawiedliwia lenistwo, a margines życia przede mną stale się zwęża.

Nie narzeka na własną sytuację, pociesza innych, którzy szukają u niej pociechy. Po wizycie znajomej, która nie mogła przeboleć utraty matki, do której była bardzo przywiązana, Danilewicz-Zielińska notuje:

> Musiałam, chcąc nie chcąc, udawać psychoanalityka i zabijając własne wspomnienie tłumaczyć śmierć jako wolę Bożą, nie omijającą nikogo. W moim wieku wymaga to samodyscypliny i unikania analogii.

Szczęśliwym zrządzeniem potrafi jeszcze czytać, co robi z przyjemnością oraz „narkotyzuje się" TV Polonią. Zachwyciła się np. oglądając wystawienie „Zemsty". W sierpniu 1999 odebrała mój list z kolejnym sprawozdaniem z mojego pobytu w Polsce.

> Zazdroszczę Panu możliwości częstych wyjazdów, a w szczególności Wilna. Ja nie mogę odwiedzić nawet Włocławka, do którego ciągnie serce, ledwo łażę po domu i serce nawala (zemdlenia), nie nadaję się do podróży samolotami – a tak stąd daleko.

Kartkę napisała regularnym, pięknym pismem ręcznym, którego niewielu ludzi w życiu się potrafi dopracować.

Święta Bożego Narodzenia 2000 roku spędziła u przyjaciół w eleganckim podlizbońskim kurorcie Estoril. Mogła stamtąd podziwiać zmienne, malownicze krajobrazy oceaniczne. Pojechała ze swoją najnowsza książką „Fado o moim życiu", której egzemplarz miałem w styczniu odebrać. Było to Boże Narodzenie po wodzie. W liście z 12.01.2001 r. już po powrocie do Feijo wspominała ciężki okres pracy bibliotekarskiej w Londynie, który nie pozostawiał czasu na pisanie i że dopiero po przejściu na emeryturę i przeniesieniu się do Portugalii mogła napisać „Szkice o literaturze emigracyjnej" i eseje, które złożyły się na książkę „Fado o moim życiu".

Nie przeczuwała, że nowy rok zacznie się fatalnym załamaniem się zdrowia i że tragiczny pożar zniszczy część dokumentów jej owocnego życia. Pani Maria, Bogu dzięki, wraca szybko do zdrowia, ale nie może nie być wstrząśnięta niepowetowaną utratą książek i listów. Chciałem wierzyć, że „pustelniczka", dotknięta tak wieloma próbami i z tej wyjdzie obronną ręką.

Maria Danilewicz-Zielińska zmarła 22 maja 2003 roku w Quinta das Romazeiras w Portugalii (przy. red.).

O Marii Danilewicz-Zielińskiej:

> Portugalskie rekonesanse

https://www.youtube.com/watch?v=-VUs1dYfU2g

Osobistości powojennego Londynu

Florian Śmieja

Życie składa się z łańcucha epizodów, wydarzeń, spotkań, które

bywają ciekawe lub monotonne, udane i mniej wydarzone, godne pamięci i zasługujące na zapomnienie. Do jednych się chętnie przyznajemy, drugie puszczamy w niepamięć. Żałujemy że nam się przydarzyły, wolelibyśmy, aby ich nie było. Jeszcze po latach pozostają ślady, niby migawki z licho pamiętanego filmu. Każdy z nas ma ich inny zestaw zależnie od losu, czasu, sytuacji. Ich ewokacje zaspakajają nostalgiczne ciągotki, ale i wywołują zadumę nad zdumiewającym kalejdoskopem minionego.



Ślub Zofii Poniatowskiej i Floriana Śmiei w Londynie, 17 lipca 1954 roku. W centrum – rodzice i babcia panny młodej. Za nimi (w czarnym kapeluszu)marszałkowa Aleksandra Piłsudska – żona Józefa Piłsudskiego, fot. arch. rodzinne.

Ponieważ wżeniłem się w rodzinę piłsudczyków, miałem okazję i

szczęście spotkać prominentów z tego obozu z racji rodzinnych spotkań i uroczystości.

W pierwszym rzędzie poznałem kuzyna teścia, Juliusza Poniatowskiego, międzywojennego ministra rolnictwa, osobę mądrą i ascetyczną. To on zafundował nam *locum* w swoim skromnym mieszkaniu pod Paryżem, kiedy wybraliśmy się w podróż poślubną autostopem z Londynu do Hiszpanii. Stryj Juliusz karmił nas z oddaniem wymyślnymi sałatkami, które troskliwie przygotowywał.

A na nasz ślub w kościółku na Clapham Common w Londynie przyszła pani marszałkowa Aleksandra Piłsudska i wręczyła nam broszkę, chyba własnej roboty, która nam się, niestety, gdzieś zapodziała.

Żona za młodu była wzorową harcerką, bardzo serio traktowała swoje obowiązki, co częściowo jest zasługą wspaniałej drużynowej, Jadzi, córki "Montera", generała Antoniego Chruściela, którą uwielbiała.

Kiedyś pojechałem na ognisko harcerskie na Ealingu, bogatszej dzielnicy zachodniego Londynu. Wraz z niektórymi uczestnikami imprezy zostałem zaproszony potem na herbatkę do mieszkającego niedaleko gen. Józefa Hallera, tego samego, który przeszedł do historii m.in. z aktu zaślubin Polski z Bałtykiem.

Pamiętam, że generał obsługując nas, wspominał swoją żonę, która niedawno zmarła.



Zofia Poniatowska i Florian Smieja wychodzą z kościoła po ślubie, Londyn 17 lipca 1954 r., obok druchna – Jadwiga Chruściel, fot. arch. rodzinne.

Na wykładzie Polskiego Uniwersytetu Polskiego Na Obczyźnie zagadnął o mnie moją przyszłą żonę minister Stanisław Stroński, profesor romanistyki. Przeczytał w wychodzącym w Londynie tygodniku "Życie" mój artykuł o wczesnej liryce hiszpańskiej mogącej rywalizować z prowansalską, której Stroński był wybitnym znawcą. W ów wieczór spóźniłem się na wykład, ale niezawodna intuicja profesora zaprowadziła go do najwłaściwszej osoby po informacje, choć wtedy byliśmy jedynie

kolegami szkolnymi. Kilka lat później otrzymałem nagrodę młodych im. St. Strońskiego, a on sam przewodniczył na wieczorze laureatów.

W tejże wszechnicy poznałem gen. Mariana Kukiela, który nam wykładał historię, a zwłaszcza epokę napoleońską. Jego rumieńce były powodem dykteryjki, która krążyła po Londynie.

Gdy został kustoszem Instytutu im. gen. W. Sikorskiego odwiedzający donosili, że widzieli generała, a na pytania ciekawskich, jak wyglądał, odpowiadali: “Jak żywy”.



Drużyna harcerska Jantar. Trzecia od lewej – Zofia Poniatowska, fot. arch. rodzinne.

Do osobistości powojennego Londynu należał profesor Stanisław Kot, ambasador i polityk gen. W. Sikorskiego. Dostrzegam przez mgłę pomaganie profesorowi w czytelni British Museum, gdyż miał już trudności z czytaniem katalogów.

Zaprosił mnie raz na wegetariański obiad. Nie umiałem się uporać z mnogością misek z różnorakimi warzywami i orzeszkami. To była dla mnie absolutna nowość.

Profesor należał do zacietrzewionych graczy politycznych. Gdzieś zanotowałem sobie jego tyrady pod adresem adwersarzy. Sam nie cieszył się jednoznaczną opinią, a zdymisjonowany przez

niego profesor Stroński miał zostawić ostrzegawczą kartkę z napisem: “Uwaga. Zły Kot”.

Znanych Nowakowskich w “polskim” Londynie emigracyjnym było dwóch: pisarze Zygmunt i Tadeusz. Był jeszcze Marian, śpiewak. Występował z popularnym chórem wojska polskiego. Potem został zaangażowany przez słynną operę Covent Garden, gdzie śpiewał jako postawny bas w ”Aidzie”, “Borysie Godunowie” i innych operach.

Spotykałem go często, gdyż przychodził po żonę Marię, po zajęciach uniwersyteckich. Obserwując jego zachowanie w obecności żony, żartowaliśmy, że w domu to on śpiewał innym zupełnie głosem.

Maestro nas mile zaskoczył, kiedy zaśpiewał w kościele na naszym ślubie.



Józef Poniatowski (z lewej) odznaczony Orderem Polonia Restituta z prezydentem Edwardem Raczyńskim. W tle siostra Zofii Poniatowskiej, Wanda.

Z Londynem kojarzę dwu moich niezwykłych uczniów języka polskiego. Pierwszym był sir George Clutton. Zgłosił się do mnie po powrocie z Filipin, gdzie był ambasadorem Wielkiej Brytanii. Jego następną placówką miała być Warszawa. Wysoki, szczupły w grubych okularach był dawnym urzędnikiem biblioteki British Museum, który w czasie wojny przeszedł do dyplomacji. Znał hiszpański bardzo dobrze.

Był poważnym, pilnym uczniem. Raz zjawił się w szarym fraku. Okazało się, że był u królowej odebrać listy uwierzytelniające, na frak narzucił prochowiec i kolejką podziemną przyjechał na

lekcje. Zapamiętałem obiad jaki przygotował dla mnie i mojej żony: jaja mewy i pieczone gołębie. Nauczył się na pamięć przemówienia po polsku i przed wyjazdem do Warszawy odwiedził ambasadora PRL w Londynie i przemówił, ku jego zdumieniu, czystą polszczyzną. Był to pierwszy ambasador Wielkiej Brytanii, który znał język polski i jego przyjęcia w Warszawie były cenione przez różne osobistości z kręgów opozycji.

Innym moim uczniem był przez pewien czas książę Adam Czartoryski z Sewilli. Życzył sobie, by jego nauczyciel znał język hiszpański. Czasem żartowaliśmy, że kiedy jego kuzyn zostanie królem Hiszpanii, a było to za czasów gen. Franco, to go mianuje swoim ambasadorem w Polsce.